

## Wszyscy jesteśmy gnojewianami

*Wizytę starszej pani* od pewnego czasu zwykło postrzegać się jako ramotę, co trochę dziwi, zważywszy na to, że poruszane weń tematy można uznać za niepokojąco aktualne. Istnieje co najmniej kilka ważkich ścieżek interpretacyjnych, którymi można podążać.

Pójdźmy zatem pierwszym tropem. Społeczność Güllen jest do cna zdeprawowana. Pod otoczką małomiasteczkowej bezpretensjonalności kryje się nadgniły korzeń. Powietrze miejscowości zatruwa trupi jad. Widmo egzekucji Alfreda Illa drzemie w mieszkańcach od samego początku; pierwotnie w stanie hibernacji, wzbudzone w miarę eskalacji konfliktu. Samosąd *de facto* został przypieczętowany już w chwili objawienia ultimatum Klary Zachanassian. Inne odczytanie proponował sam Dürrenmatt w posłowniu do dramatu. Według autora mieszkańcy Güllen nie są z natury niemoralni. Bliżej im do stanu, który określiłabym jako „moralna nieważkość”. Do zamachu na życie Illa przywiódł ich eskapizm. Prawie do końca tała się nadzieja na wykaraskanie z powikłanego układu, wiara, że „wszystko się jakoś ułoży”, cytując samego Dürrenmatta. Nie bez znaczenia pozostaje polityczno-społeczne tło utworu. *Wizyta starszej pani* powstała dekadę po zakończeniu II wojny światowej. Na horyzoncie zamajaczyła już mgiełka dobrobytu; Europejczycy wyrywają się nędzy, choć daleko im jeszcze do prosperity. Po raz kolejny warto jednak przytoczyć słowa pisarza – pani Zachanassian nie jest bynajmniej doraźnym uosobieniem planu Marshalla. Wszystko rozgrywa się w planie uniwersalnym. Bohaterowie dramatu to ludzie wystawieni na pokusę, zdeorientowani, zagonieni w ostateczność.

Jaką optykę proponuje Wawrzyniec Kostrzewski? Gülleńcy to przede wszystkim ludzie zewnątrzsterowni. Dyktat tłumy jest bezwiednie przyswajany jako indywidualna refleksja. Słowem, mieszkańcy tańczą, jak im kto zagra. Powyższe zdanie należy rozumieć nie tylko przenośnie. Warszawski spektakl opiera się na wyraźniej rytmizacji świata; akcji towarzyszy lejtmotywowy, prosty motyw muzyczny. Tuziemcy wycinają radosne hołubce w rytm rzekomych aksjomatów. W końcu faktycznie poddają się wierze w to, że symboliczny mord dokonany na Illu stanowi egzekucję wyższego porządku. Cóż, bogini Dike wdepnęła w niezły galimatias.

W spektaklu oryginalne Güllen podmieniono na swojsko brzmiące Gnojewo. Rewelacyjny przekład Ireny i Egona Naganowskich odmładza nieco język szwajcarskiego

twórcy. Mamy zatem prząsne Gnojewo, gotowe zdetronizować Wąchock w znanej serii dowcipów z brodą. Nieopodal Gnojewa znajduje się Cielakowo. Małżonka Illa nie przedstawia się już jako anachroniczna Tyldzia, a zwyczajna Madzia. Okolicę zaludniają pospolicie Twardokwiatowie i Świdrowie. Tłumacze usunęli również gros niezbyt zrozumiałych dziś niuansów. Aluzję do zapomnianego Adalberta Stiflera przerobiono na *Króla Olch*, wśród sługusów Klary nie przewija się „zbieg z Sing-Sing”, a „zwykły” gangster z Manhattanu. Mamy wreszcie *crème de la crème* wszystkich niuansików – proces Illa odbywa się w sali teatralnej lokalnego hotelu; pojawiają się także nawiązania do Teatru Dramatycznego z Cielakowa. Aspekt metateatralny wymaga dłuższego omówienia; na razie można stwierdzić, że zwierciadło krytyki zostało ustawione tuż przed obliczami widzów. Wszyscy jesteśmy gnojewianami.

Spektakl opiera się na znacznych uogólnieniach, również w scenografii Anety Suskiewicz. W centrum sceny znajduje się konstrukcja złożona z płataniny schodów, kilku podestów, metalowych rurek tworzących poręcze. Na drewnianym słupie wisi lampa, emitująca niekiedy chorobliwie zielonkawe światło. Z pozoru nic szczególnego. W przedstawieniu Kostrzewskiego kluczowe jest jednak rozczytanie kodu proksemicznego. Każdy ruch konotuje konkretne znaczenie, dlatego na uznanie zasługuje przemyślana praca choreografki Anity Wach. Mówiąc w skrócie – im bliżej górnego podestu konstrukcji, tym wyższa pozycja na drabinie stratyfikacji. Góra nieodmiennie należy do Zachanassian i jej orszaku, lecz w miarę nakręcania spirali konfliktu mieszkańcy coraz śmielej zajmują wyższe stopnie schodów. Na samym dole – ba, na gołej ziemi, zwrócony twarzą w dół – leży upodlony Alfred III. Warto zwrócić uwagę na dość istotny szczegół. Zanim Klara zdobyła społeczne wyżyny, doświadczała samego dna hierarchii. Potentatka po raz pierwszy pokazuje się w Gnojewie na stacji kolejowej, wysiadając z pociągu, omijając pracowników zgrupowanych przy drezynach. „Pociąg” wyobraża zapadnia, a zatem d ó ł – swoiste piekło (nie muszę chyba przypominać biografii Klary, wykluczonej ze społeczności jako kobieta lekkich obyczajów, z nieślubnym dzieckiem na ręku).

Wcielająca się w miliarderkę Halina Łabonarska nie przypomina bynajmniej ordynarnej lampucery, którą bylibyśmy skłonni sobie wyobrazić na podstawie lektury. Klara Dürrenmatta to postać odhumanizowana, nieludzka, i to nie tylko w żelaznej konsekwencji dążenia do celu, lecz także w aspekcie dość specyficznej fizjonomii. Zachanassian, niczym Lemowski przekładaniec, tylko w niewielkim stopniu dysponuje własną tkanką – w większości składa się wszakże z protez. Bogaczka notorycznie unika śmierci. Wydaje się, że sprawuje nad nią niepojętą kontrolę; to istota prawie niezniszczalna, quasi-cyborg, kobieta-

kolubryna. Rola Łabonarskiej odbiega od takiego wizerunku. Na scenie pojawia się wypiełgnowana „kuguarzyca”, może nieco starsza niż typowe przedstawicielki tej grupy. Odziana na biało, od szpilek, przez spodnie-cygaretki, aż po żakiecik. Nawet starannie ułożonej fryzurze daleko do siwizny; przywodzi na myśl raczej modny odcień szarego blondu. To chłodna megiera, profesjonalna mścicielka, sterylna Nemezis egzekwująca sprawiedliwość w białych rękawiczkach. W scenicznym uniwersum nie pojawi się żadna osoba będąca w stanie dorównać jej charakterem. Zresztą, konkurencja nie jest zbyt charyzmatyczna – prząśni Gnojewianie, milczący słudzy, zahukani mężowie bez oporu markujący ciężki namysł.

Postać Łabonarskiej podlega jednakże kilku metamorfozom. Zimna bizneswoman wiezie tłum Gnojewian (wrażenie długiego spaceru potęguje wykorzystanie sceny obrotowej); charakterystyczny „giętki” chód klóci się z wizją kalekiego, monstualnego babska rodem z Dürrenmattowskiej litery. W późniejszej części spektaklu Klara z chęcią będzie przesiadywać „na wysokościach”, z reguły skąpana w snopie białego bądź błękitnobiałego światła (na marginesie dodam, że sylwetkę Illa często rozpala krwistoczerwona iluminacja – nie muszą chyba tłumaczyć, do jakiej symboliki odwołuje się reżyser światła, Mikołaj Jaroszewicz). Zachanassian wygląda w takich momentach niczym antyczna statua – skojarzenia z antykiem, tak często przywoływane w krytycznych omówieniach utworu, są jednak nie do uniknięcia. Do pewnego czasu Klara jawi się jako wywyższona, wręcz nierealna, bezstronna obserwatorka; tli się jeszcze płomyk wiary w jakąkolwiek sprawiedliwość, w jakąkolwiek słuszną misję. W drugiej części przedstawienia Łabonarska nie pojawi się już jednak w śnieżnobiałym, „nieskalanym” stroju. Przybyszka przechadza się odziana w motocyklową kurtkę i buty – czarne, jak stroje mieszkańców Gnojewa. Antyk zszedł z postumentów na ziemię. Wzniosłe slogany trywializują się, ostatecznie przeradzając w suche komendy i roszczeniowe kwestie. Klara nie oferuje już moralnej odnowy; jedyne, co może obiecać, to „miliard za trupa”.

Natura samych Gnojewian jest określana za pośrednictwem muzycznej strony spektaklu. Postacie napędza wewnętrzny puls. Nie sposób nie zauważyć zapętionych sekwencji ruchowych czy innych aktorskich repetycji. Oczywiście, z homogenicznej masy stopniowo wyłaniają się indywidualia, jak choćby egzaltowany Nauczyciel Łukasza Lewandowskiego, pocziwy Policjant Zdzisława Wardejna czy kabotyński Burmistrz Henryka Niebudka. Kostrzewski nie próbuje uczłowieczyć motłochu; nawet indywidualne rysy postaci nie wzbudzają empatii. Reżyser nie widzi żadnej nadziei w Gnojewianach. Dürrenmattowskie „wszystko się jakoś ułoży” zwyczajnie nie ma już racji bytu. Hałastrą od

samego początku podchwytuje slogany, niczym echo powtarzając ostatnie słowa z wypowiedzi Klary. Mieszkańcy jak młode pelikany łykają zaserwowane im prawdy, łącznie z wszelkimi odpadami. Postać krezuski zbyt mocno łączy zbiorową wyobraźnię: to ta, która szasta milionami, dzieli łożę z lordami i paszami, a przecież jest, krew z krwi, nasza. Gnojewianka jak się patrzy.

Przyznam, że kiedyś chciałabym się zapoznać z inscenizacją zorientowaną na psychologiczny aspekt konfliktu, tak akcentowany przez autora, a z którego zrezygnował Kostrzewski. Wizja otumanionego i skarykaturowanego tłumu wyszła jednak spektaklowi na dobre. Pierwszy akt, o ile zrealizowany solidnie, nie porywa – obcuje z obrazem na kształt serialowego *Rancza*. Narracja prowadzona w pierwszym akcie eksploduje jednak w akcie drugim. Tutaj w pełni ukazane zostały konsekwencje zachowania mieszkańców, efekt stopniowej brutalizacji tłumu. Naraz wylewają się instynkty, które w pospolitych gnojewianach tkwiły prawdopodobnie od zawsze. Powiem, cytując córkę Illa, *c'est formidable*. To dopiero kawał dobrej roboty.

Wrażliwość nie stanowi stabilnej waluty w tym świecie. Nawet ostatnia rozmowa Klary i Illa w Konradowym lasku wyprana jest z emocji. Dawni kochankowie wymienią parę zdań o córce, która umarła nie dożywszy roku. Brzmi to jak wywiad, sucha odpytka – albo formalność, która musi zostać dopełniona przed śmiercią. Drugi akt uderza właśnie przez to, że nie istnieje w nim żadna budująca emocja. Łatwopalna agresja potrzebuje zarzewia. Lincz poprzedzony jest serią złowieszczych omenów – grzotem dzwonów, hukiem strzałów z dubeltówki. W finale Ill umiera na skutek zawału serca. „Sam się ukarał”, mówią prości ludzie. „Umarł z radości” – dopowiadają pobratymcy. I to jest najbardziej przerażający moment *Wizyty starszej pani* – faktyczna wiara w, absurdałne przecież, wytłumaczenie. Nie obcuje z aktem zwykłego racjonalizowania katastrofy, powodowanym wyrzutami sumienia. To autentyczne przekonanie, że za pośrednictwem przemocowego działania można uzdrowić jakiś stan rzeczy. Cała sytuacja, przypominam, dzieje się w sali teatralnej gnojewiańskiego hotelu. Wysoka kultura i ideały obracają się w proch. Mało tego, „procesowi” towarzyszy medialna asysta w osobach Mateusza Webera i Krzysztofa Szczepaniaka; dziennikarzy z nienaturalnie białymi zębami, bez większych rozterek przeobrażających lincz w medialne igrzyska. Idea demokracji i równości, jak można się domyślić, nie ma już żadnego znaczenia. Ill siedzi odwrócony plecami w stronę oskarżycieli. Nie patrzą sobie w oczy. Za to ofiara spoziera w oczy w i d z ó w.

*Wizyta starszej pani* w reżyserii Kostrzewskiego to bardzo dobry spektakl, choć nie obyło się bez paru potknięć. Rozumiem, że pokazy premierowe żądzą się swoimi prawami.

Chyba każda osoba choć trochę zaznajomiona z prawidłami rządzącymi reżyserią w teatrze publicznym zdaje sobie sprawę z tego, że tryb pracy wymusza nieraz nieludzkie tempo. Pomyłki aktorów nie są niczym szczególnym. Momentami jednak wykonawcy zwyczajnie nie wiedzieli, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, kiedy wchodzili sobie w kwestie (wiele takich wpadek da się zatuszować; mistrzami w tej materii bywają teatry amatorskie!). Chwilami uderzał brak pomysłu na niektóre postacie. Koby i Loby z dramatu Szwajcara, przekupieni tanim alkoholem świadkowie w sprawie ustalenia ojcostwa Klary, zostali połączeni w jedną postać, kreowaną przez Mariusza Wojciechowskiego. Efekt? Po scenie snuje się zgarbiony „wiejski głupek”, odnoszący się do siebie w liczbie mnogiej. Ot, łatwa do zmanipulowania pokraka, brat bliźniak Salvatore z *Imienia Róży*. Brzmi nieźle, gorzej z wykonaniem. Koby zakleszczony jest między tragizmem a komizmem, przez co trudno sprecyzować stosunek do postaci. Niestety, większość scen z jego udziałem mogłaby zostać usunięta bez szkody dla widowiska. Szkoda. Wszak Koby/Loby to postać ambiwalentna; pionek w wielkich machlojach i szuja zarazem.

Wawrzyniec Kostrzewski pozostaje lojalny wypracowanej metodzie inscenizacyjnej – wierności tekstowi i ograniczonym, choć przemyślanym środkom formalnym. Przy tym twórca inteligentnie dobiera się do sensów ukrytych w tekście. Wbrew pozorom niełatwo jest praktykować teatr tradycyjny. Wszak i od niego oczekujemy pewnej wywrotowości. W obliczu afery związanej ze spektaklem Olivera Frljicia, *Wizyta starszej pani* jawi się jako rzecz w niewielkim stopniu antagonizująca społeczeństwo, a co za tym idzie – jako widowisko o znikomym potencjale krytycznym. A jednak warto pamiętać o drzemiącym weń przesłaniu. Klara Zachanassian nigdy nie zasypia. Ona tylko czuwa.

Agata Tomaszewicz